Rok 1897. Nr. 42

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy do „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Redaktor: **Izydor Kuncewicz.**

PESYMISTA

I zaszedł w końcu, z twarzą trupio-bladą
W pustkę niebytu i zgrozy złowieszczej,
Kędy milczenie stokroć głośniej wrzeszczy
Niż ryk piorunów z deszczową kaskadą.

Chmury leżące na stropie, jak stado
Potworów czarnych, co ślepie wytrzeszczy,
Mrok dali, martwość, tak w cieśń swoich kleszczy
Zwarły mu duszę, że za piekła radą —

Siekąc swe życie nędzne, przekleństw biczem,
Już chciał ze skały skoczyć w upragnioną
Otchłań nirwany... Wtem, jasnem obliczem

Wybłysło słońce... Ach, lubością łono
Zapływa, drgnie zmysł życia w tajemniczem
Dnie duszy skryty, chęcią niezwalczoną!..

Józef Gertowski.

Włodzimierz Koszyc

Oleandry.

(Dokończenie).

Władkowi Kuliszowi ciągle jeszcze przypominała się gra w domino z Gorylskim, więc rzekł z poetycznym patosem:

—Gdyby te wszystkie prześliczne pola były dominami, mógłby Dziunio usiąść u stóp przeciwległego stoku górskiego i popróbować szczęścia...

Felę oburzyło do żywego, że Kulisz profanuje cudowną przyrodę. Zaróżowiła się z podniecenia i pogroziła mu palcem.

— Pan taki zwykły cynik i marny filister...

Potem wyciągnęła przed siebie dłonie i oczy wzniosła do nieba.

— Jakżeż rozwichrzone te obłoki!.. Płyną rozdartą, błękitną falą za tatrzański horyzont. Popatrzcie się!.. Na skraju, na lewo od nas, utworzył się wspaniały sarkofag... Gdzieś widziałam zupełnie podobny...

Zaczęła myśleć i trzeć czoło.

— Istotnie Felu — odezwała się pani Łucka — tak wygląda pomnik grobowy Kazimierza Wielkiego lub Jagiellończyka na Wawelu.

Fela się rozradowała i klasnęła w dłonie.

— Prawda! prawda! Jak majestatycznie przesuwa się po błękicie... Rozpoznać można szczegóły. Jest korona królewska i berło i długie szaty... U nóg duży uśpiony biały orzeł...

Obłok mknął, rozlewał się, tracił kształty i znikł, utonął w ogromnym, jasnym szlaku, zawieszonym nad naszemi głowami.

Bronia patrzyła z niemym zachwytem na zjawisko, a kiedy ono przemknęło jak senne marzenie, pochyliła smutnie głowę na piersi.

Matka ujęła ją za dłoń i zapytała:

— Dlaczego nie cieszysz się z nami? Dlaczego nic nie mówisz?...

Musiały nią wstrząsnąć straszne burze i niepokoje — bo z jej oczu szedł żar namiętności i rozpaczy zarazem. Dźwignęła się trochę na wózku, przechyliła biedną, zmizerowaną głowę i wychudłe ręce oparła na kolanach.

— Dlaczego się nie cieszę?... Chwilami zdaje mi się, żem wróciła do was po to, aby wkrótce odejść... Uciekłam z innego prawie świata, ale boję się, że mnie odwołają... Czarny anioł nie odstępuje mię ani na sekundę... Wyście widzieli na niebie

majestat króla, a ja z tych samych obłoków wytworzyłam sobie inną zupełnie postać... Ta myśl przytłacza mię, zabija, dogryza... Odbierzcie mi tę myśl, tę grobową myśl...

Sposępnieliśmy, osłupieli, a Mitka i Fela odeszły na bok, aby stłumić płacz. Moja matka zaś złożyła ręce, jak do modlitwy i prosiła:

— Przestań Broniu, przestań kochana...

— Ależ ja mateczko tak mówię, bo was nad życie lubię. Jak się cieszyłam słońcem po odzyskaniu wzroku, tak się cieszę wami drogimi... Odnalazłam moje skarby, choć droga do ich odszukania była mroczną i pełną cierpień. Tak mi z wami dobrze, serdecznie... Ile razy widzę przyrodę, lęk mój potęguje się bezmiernie... Piękno tych pól, lasów i przysiołków wzmaga we mnie przywiązanie do życia, a przejścia niedawne studzą cały zapał i wpuszczają robaka zwątpienie do każdej myśli... Ale to przejdzie zaraz...

— Przecież, dzięki Bogu, zdrową jesteś Broniu — rzekła pani Łucka. — Nie myśl o przeszłości.

A matka dodała:

— I nie zabijaj mnie i siebie niepotrzebnemi wspomnieniami. Gdyby się chciało pamiętać o tem co było, odechciałoby się wierzyć w to, co będzie...

— Już wiem co będzie, mamusiu... W najlepszym razie te nogi skostniałe nie odzyskają władzy... Muszę ciągnąć kalectwo, jak cień własny za sobą...

Mitka i Fela przypadły do Broni i tuliły się do niej, jak dwie młode łasiczki.

— Nie wyrządzaj nam przykrości... nie smuć nas...

Ona objęła je drżącemi ramionami i dziwnie uroczyście powiedziała:

— Przed wami wszystko otworem... Możecie zdobywać sobie wiedzę, działać i rzucać się na bystry prąd życia... Ja siły straciłam, zanim zaczęłam się piąć pod stromą górę doczesnej rzeczywistości... Nic więcej nie mogę zyskać, prócz własnej niemocy. Wiem, że są ideały, o których tylko śnić mi będzie wolno... Przemkną koło mnie, jak fantastyczne widziadła i uciekną... Kajdaniczką zostanę mego kalectwa i nędzy... Ot, na te góry, na to niebo patrzę z wózka, a gdy chcę, jak wy, przebiedz te zielone stoki, nie potrafię... I dlaczego? I dlaczego?... Wiecznie być i zostać rośliną usychającą w cieplarni życia...

Wstrząsał nią spazmatyczny, gwałtowny, dreszcz nerwowy. Twarz miała siną, oczy błędne. Matka dała znak Marcysi. Wózek posunął się zwolna ku dołowi, a my za nim, jak zgnębiony orszak żałobny. Bronia siedziała martwo, obojętnie, tylko pal-

cami poruszała z błyskawiczną prędkością. Zanim wjechaliśmy do dworku, obróciła się za siebie i ogarnęła wzrokiem widnokrąg. W izdebce prosiła, aby jej łóżko zasłano. Ułożyliśmy ją na pościeli, a ja wraz z matką pozostałem na straży. Pociła się, bladła, rumieniła naprzemian i od czasu do czasu tak zaciskała zęby, że zgrzytały. Palce wpijała silnie w kołdrę, aż ją w liczne pobruździła fałdy. Powieki zasunęła na źrenice i rozchylonemi ustami wyrzucała niezrozumiałe półszepty. W nocy wystąpiła gorączka i dreszcze. Majaczyła dużo o czarnym aniele i znowu o Chrystusie stąpającym po falach. Wczesnym rankiem zbudziła się niezupełnie przytomna. Kiedy jej pani Łucka podawała mleko, krzyknęła, że nie chce trucizny. Położyłem jej zimny kompres nu czole i nie pozwoliłem nikomu zbliżać się do łóżka. Spokój oddziałał na nią widocznie dobroczynnie, bo po pewnym czasie sama zażądała wody.

— Dam ci mleka trochę, Broniu.

Gdym jej podawał szklankę, nie podniosła rąk.

— Masz Broniu, napij się...

— Nie mogę ruszyć dłońmi...

W tej chwili szklanka mi upadła na ziemię i rozprysnęła się w drobne kawałki. Równocześnie matka strasznie krzyknęła i runęła na podłogę. Pani Łucka wraz z Kuliszem i Felą wynieśli ją do sąsiedniego pokoju. Ja zaś stałem przytomnie nad chorą i troskliwie badałem:

— Jakto nie możesz podnieść rąk?...

Ona nic nie odpowiedziała, tylko ruszała nieznacznie samemi dłońmi, jakby chciała pokazać, że one zachowały resztki życia. Szło jej to widocznie opornie — bo aż wargi zaciskała z żalu. Wyraz twarzy miała tak samo przekrzywiony i apatyczny, jak w czasie pierwszego, najgorszego okresu choroby. Zadepeszowałem natychmiast do wuja. Przyjechał nazajutrz w południe. Zbadał puls, przyłożył stetoskop do serca a potem, zwyczajem swoim chodził po pokoju, zarzuciwszy poły surduta na skrzyżowane w tyle ręce.

— Cóż? drogi wuju...

— Nic...

Nie chciał więcej mówić.

Zbliżyłem się do niego po chwili.

— Kiedy wuj zamierza jechać, bo muszę wystarać się o konie...

— Daj mi święty spokój z końmi, zostanę tu...

Dzień płynął po dniu wśród cmentarnej ciszy. Przy matce czuwała Fela z Micią, przy Broni ja z panią Łucką i wujem. Chora popadała ustawicznie w senność. Była zupełnie bierną, obojętną. Nie żądała niczego, nie dopytywała się o nikogo, po-

karmów nie chciała wcale przyjmować. Musiałem łyżkę bulionu wciskać jej przemocą przez zęby, ale i to się nie na wiele przydawało, bo nie połykała płynu. Więdła, ginęła z każdą chwilą. Twarz miała bledszą od płótna i męczeństwem namaszczoną. Ile razy skrzypnęły drzwi i w pokoju zjawiła się łysa głowa wuja, wołała konwulsyjnie :

— Nie chcę... nie puścić...

I dopiero przekonawszy się, że to wuj, milkła znowu i martwo patrzała w pułap.

Po dziesięciu dniach od czasu położenia się do łóżka, domagała się spowiedzi. Przyszedł ksiądz z Panem Bogiem i dysponował ją na ostatnią drogę. Po odejściu kapłana była bardzo pogodną, prawie uśmiechniętą. Anielska dobroć i cierpliwość wychylały się z jej zamglonych nieco źrenic.

— Matki, na chwilę matki... — szepnęła.

Wprowadziłem osłabioną, ledwie trzymającą się na nogach matkę.

— Daj usta mamo... — mówiła drżącym głosem.

Całowała ją lekko, ledwie swoje wargi do warg matki przykładając.

— Teraz ręce...

A kiedy i ręce jej zasypała pocałunkami, prosiła cicho:

— Jeszcze włosy...

Musnęła zaledwie włosy i donośniejszym, już stanowczym tonem rzekła :

— Wyprowadź teraz mamę, Stachu.

Wuj Jan trzymał chorą za puls i zwrócił się do mnie:

— Zaraz będzie koniec... Życie gwałtem ucieka...

W tej chwili rozległ się głos dzwonka z wieżyczki pobliskiego modrzewiowego kościółka. Ton płynął równo, miarowo po fali czystego powietrza nad przestworzem gór, nad cichem, w blaskach południowego słońca skąpanem siołem. Nadsłuchiwała, łowiła resztkmi konającej przytomności te ostatnie z ziemi tony. Zwróciła jeszcze raz w skos oczy i ujrzała rysujące się na tle okna kontury nieba i zielonych stoków. Anielskość i słodycz promieniały z jej twarzy.

— Podnieś mi Stasiu głowę i daj kroplę wody.

Zwilżyłem jej wargi.

— Dziekuję... Bóg z tobą...

I przegięła się jej głowa wtył na mojem ramieniu i zrazu oblała ją mgła żółcizny, która stopniowo jednak zamieniała się w marmurową białość. Piersi już nie podnosiła, chociaż miała szeroko rozwarte oczy.

— Ona nie cierpi więcej i nic nie czuje, rzekł grobowym głosem wuj.

Porwałem butelkę wina i chciałem niem potrzeć skronie Broni. Wuj mię ujął silnie za ramię.

— Nie pozwolę, dość się męczyła...

Pochyliłem się nad łóżkiem.

Leżała sztywna, kamiennna, taka bieluchna i spokojna, jak kararyjski posąg. Źrenice tylko miała odsłonięte i przechylone ku skroniom.

— Dlaczego wuju powiek nie domyka?...

Wuj zamknął jej powieki, a ja dopiero wtenczas zrozumiałem, że stoję obok majestatu śmierci.

Nie przypominam sobie doprawdy, co się działo przez trzy dni nnstępne. To tylko wiem, że ją zawleczono do trumny, której wieko sam zamknąłem. Potem szliśmy przez boczną drożynę wiejską i mały mostek, rzucony ponad rzeczką, opasującą cmentarz. Włożyli ją do mogiły, wykopanej między grobami wieśniaczymi na wieczne odpoczywanie. Pozostała przy niej płaczka brzoza i kilkanaście nieśmiertelników.

W najbliższą wiosnę po pogrzebie zaszczepiłem na grobie przywiezioną z domu odrodzoną gałęź oleandru. Gdym w lecie przyjechał pomodlić się na cmentarzu, pozostała z niej tylko sucha, pomarszczona tyczka.

ZDZISŁAW ART.

O POEZJI ASNYKA

(Ciąg dalszy).

Walka społeczna między wyzyskiwaczami i wyzyskiwanymi, to drugi temat rozmyślań Asnyka. Czarno, pessymistycznie zapatruje się on na walkę toczącą się wśród społeczeństwa, z trwogą niemal przysłuchuje się podziemnym grzmotom nurtującym pod strupieszałem dzisiejszem społeczeństwem — a trwoga go ogarnia nie dla tego, że żal mu dotychczasowego gmachu społecznego życia, który się w gruzy lada chwila rozsypie, ale dlatego, że i w szeregach burzycieli nie widzi apostolstwa miłości i braterstwa.

Dzisiejsze społeczeństwo kapitalistyczne to:

Ród leniwy, rozbity i chory
Co do podziemnej chce ukryć się nory

Byle choć jedną przedłużyć godzinę
Ten żywot zbiegów — co bez walki giną.

Widząc tę skarłowaciałość poeta odczuwa tem silniej nędzę tych, który „nie znali nigdy co to jest dostatek, lecz znali tylko co trud i potrzeby" — mimo to, nie może się przechylić ku stronie żadnego z obozów bój toczących, bo jeden z nich w walce uledz musi... drugi zaś przejmuje poetę trwogą o przyszłość.

Ten pesymistyczny pogląd na świat przedstawił poeta najlepiej w utworze „Wśród przełomu", w którym właśnie bój ów odmalował.

Dwa światy walczą ze sobą: świat kapitalistyczny, konający skutkiem wyczerpania sił moralnych i świat wyzyskiwanych, budzący się do życia wśród bolów ludzkości. Uznanie za słuszną zasady „siła przed prawem" sprowadza ucisk słabszych, a brutalny ten ucisk wywołuje odporność w gronie właśnie tych gnębionych helotów, powołując do czynu szermierzy pragnących także udziału w dobrach tego świata.

Grzechy społeczeństwa kapitalistycznego skruszyły wszelkie podstawy moralne — nic przeto dziwnego, że nowe teorje żądają w imię tych samych zasad i dla wyzyskiwanych dostatków, pragnąc zwalić dotychczasowy porządek, aby swój w życie wprowadzić.

Co? wy własności chcecie być stróżami
(wołają heloci)
Wy mi mówicie, że ja prawo gwałcę!
Siła przed prawem! nauczacie sami
Ta sama słuszność w mieczu co i w pałce...
Ja *waszą* mądrość rozwijam i kształcę,
I chcę mieć przystęp do uczty swobodny
Bo jestem silny... i chciwy... i głodny...

Nowe te, zgubne (według poety) teorje, uosabia Asnyk w postaci „bachantki wiedzy" kroczącej na czele tłumu z okrzykiem: „Precz z marzeniami — Precz z ideałem! Dziś przewodzą światu Bóg ślepej woli... Bóg chaos... Bóg atom!"

Co do mnie nie uważam utworu tego za kwintesencję przekonań Asnyka, powstał on prawdopodobnie w chwili spotęgowanego rozgoryczenia, które pozwoliło poecie uznać chwilowo, że jedynym celem rewolucji socjalnej jest zburzyć kościół, ojczyznę, własność, rodzinę i t. d., a wszystko tylko dla tego, aby „zburzyć kształt dawny i zrównać go z ziemią". Wszakże tak na serjo nie mógł myśleć Asnyk znający nauki społeczne, i wiedzący dobrze, że nie dlatego padają w gruzy gmachy przeszłości

by imponować światu ruiną, ale dlatego, aby ną tych gruzach powstały nowe, świetniejsze budowle.

Że przypuszczenie moje co do warunków powstania utworu „Wśród przełomu“ nie jest zupełnie nieuzasadnionem, przekonać-się można, przyjrzawszy się bliżej trzeciemu tematowi poruszanemu przez poetę.

Tym trzecim zasadniczym akordem lutni Ely'ego, są *zagadnienia filozoficzne*, zaprawione pessymizmem, ale zakończone wiarą w *zwycięstwo dobra*, oraz przekonaniem, że wszelkie działanie ku powszechnej szkodzie jest próżnym tylko wysiłkiem — a więc zupełnie przeciwnie jak w utworze „Wśród przełomu“.

(Dok. n.)

O ludziach...

(Ulotne myśli)

Człowiek, który nikomu nie schlebia, a mimoto ma przyjaciół, musi mieć wielką wartość moralną, alboteż — wielki majątek.

* * *

Człowiek, który należy do jakiegoś *stronnictwa*, nie należy temsamem — do siebie.

* * *

Człowiek najbardziej nawet zasłużony, jest u ogółu zazwyczaj mniej popularny, niż zręczny blagier.

* * *

Człowiek, któryby zdołał piękno tworzyć, brzydotę upiększać, naturę i sztukę w jedno połączyć, a siłą swego ducha przezwyciężyć ducha czasu, stałby się dla świata półbogiem — na lat kilkanaście.

A. R.

by imponować światu ruiną, ale dlatego, aby ną tych gruzach powstały nowe, świetniejsze budowle..

Że przypuszczenie moje co do warunków powstania utworu „Wśród przełomu“ nie jest zupełnie nieuzasadnionem, przekonać się można, przyjrzawszy się bliżej trzeciemu tematowi poruszanemu przez poetę.

Tym trzecim zasadniczym akordem lutni Ely'ego, są *zagadnienia filozoficzne*, zaprawione pessymizmem, ale zakończone wiarą w *zwycięstwo dobra*, oraz przekonaniem, że wszelkie działanie ku powszechnej szkodzie jest próżnym tylko wysiłkiem — a więc zupełnie przeciwnie jak w utworze „Wśród przełomu“.

(Dok. n.)

O ludziach...

(Ulotne myśli)

Człowiek, który nikomu nie schlebia, a mimoto ma przyjaciół, musi mieć wielką wartość moralną, alboteż — wielki majątek.

*
* *

Człowiek, który należy do jakiegoś *stronnictwa*, nie należy temsamem — do siebie.

*
* *

Człowiek najbardziej nawet zasłużony, jest u ogółu zazwyczaj mniej popularny, niż zręczny blagier.

*
* *

Człowiek, któryby zdołał piękno tworzyć, brzydotę upiększać, naturę i sztukę w jedno połączyć, a siłą swego ducha przezwyciężyć ducha czasu, stałby się dla świata półbogiem — na lat kilkanaście.

A. R.